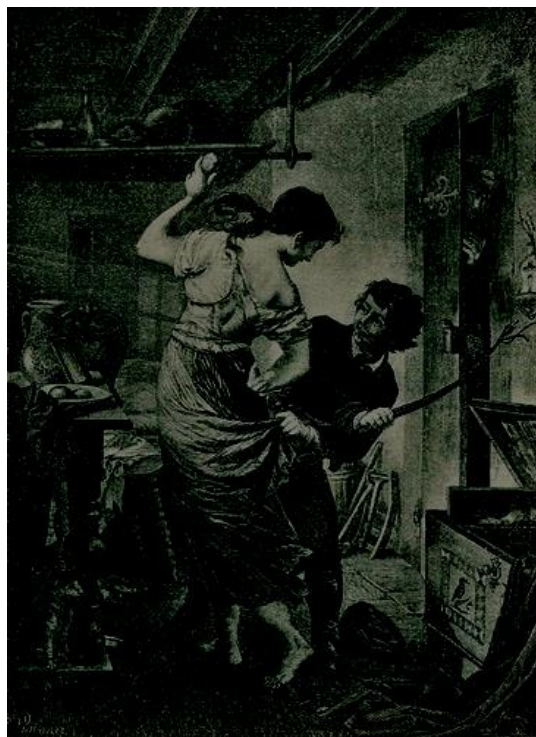


Zapraszam na arcydyngus!

ZIMNY PRYSZNIC PANA PRIESSNITZA

Na prawdziwy dyngus w Czechach nie ma co liczyć. Można jedynie dostać pomlázką czyli różgą (co prawda odświętną) po pęcinach lub innej części ciała. Wygląda to np. tak:



By Petr Maixner - <http://tyfoza.no-ip.com/veselechvile/sv3/html/kniha/texty/0123-0123.htm>, Public Domain, <https://commons.wikimedia.org/w/index.php?curid=22905511>

Dlatego przy dyngusowej okazji warto przypomnieć niezwykłą postać Vinzenza Priessnitza. Ów "Wodny Doktor", zwany też "Geniuszem Zimnej Wody", mógłby spokojnie powiedzieć za Broniewskim:

*Nie głaskało mnie życie po głowie,
nie pijałem ptasiego mleka -
no i dobrze, no i na zdrowie:
tak wyrasta się na człowieka.*

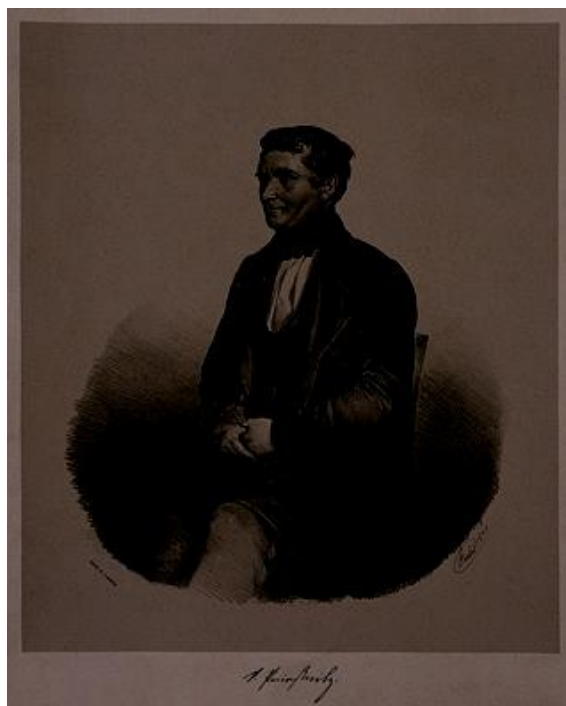
Był synem chłopca gospodarującego na spłachetku górskiej ziemi, wysoko położonym na krańcach dzisiejszego Jeseníku, w okolicy równie pięknej, co mało urodzajnej. W wieku 8 lat przeżył śmierć starszego brata, a nieco

później - utratę wzroku przez ojca. Jako 12-letni chłopiec musiał już pracować, o dalszej nauce nie było mowy (podobno nigdy nie nauczył się dobrze pisać i czytać).

Przy ciężkiej harówce w polu, w górskiej okolicy, nietrudno o wypadek. 16-letni Vincenz przewrócony przez spłoszonego konia, dostaje się pod koło wozu, który przejeżdża mu po klatce piersiowej, łamiąc żebra. Miejscowi znachorzy i lekarze stawiają na nim krzyżyk; jeśli przeżyje, będzie kaleką, co oznacza nędzę dla całej rodziny.

Nie wiedzą, z kim mają do czynienia. Chłopak ma silną osobowość i jest dobrym obserwatorem; nieraz widział, jak leśne zwierzęta moczą swe rany w górskich strumieniach.

Mimo potwornego bólu, sam nastawia sobie żebra, a następnie całymi tygodniami obwiązuje się płótnem, zamoczonym w zimnej wodzie (opatrunek zmienia parę razy dziennie). Jego wyzdrowienie cała wieś uznaje za cudowne, choć Vinzenz tłumaczy, że nie ma w tym nic nadzwyczajnego.

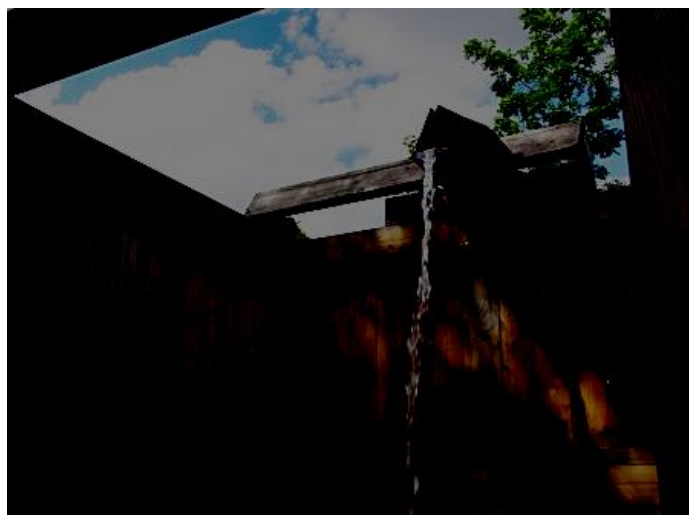


Odtąd będzie pomagał okolicznym mieszkańcom, lecząc za pomocą wody różne przypadłości u ludzi i zwierząt domowych. Robi to skutecznie, więc jego rozgłos zatacza coraz większe kręgi. Burzą się lekarze i znachorzy na konkurencję dyletanta. W końcu zainteresują się nim urzędnicy, a biurokrację c. k. monarchia ma jak się patrzy. Tym ostatnim nie spodoba się, że przy zabiegach używa... gąbki, która, jak wiadomo, służy tylko do ścierania szkolnej tablicy. Czary odprawia czy co?

Trzeba będzie chłopskiego uporu, ale też determinacji człowieka pragnącego spieszyć chorym z pomocą, żeby wygrać tę (22-letnią!) walkę o uznanie dla swej niekonwencjonalnej praktyki. W międzyczasie będzie nadzorował w Wiedniu leczenie jednego z arcyksiążąt, ocali też 21 chorych na cholereę, skutecznie zapobiegając ich odwodnieniu.

Kiedy w 1837 roku uzyska pozwolenie prowadzenie zakładu wodoleczniczego, pacjentów z całej Europy będzie więcej niż miejsc, choć u pana Priessnitza nie ma łatwo. Dzień zaczyna się o 4 rano pajdą razowego chleba z masłem i szklanką mleka prosto od krowy (nieprzegotowanego). Potem bieganie boso po rannej rosie, kąpiele, zimne okłady, praca fizyczna (np. cięcie drewna, młócenie zboża), potem, bez względu na pogodę, parokilometrowe wędrówki po górach do źródeł (jest ich w okolicy ponad 80!) i do LEŚNYCH PRYSZNICÓW.

Z poczciwą "słuchawką" z sitkiem miały one tyle wspólnego, że leciała z nich woda, a wyglądały tak:



Lodowata, źródłana woda spadała na delikwenta z wysokości 1,5 - 3,5 metra. Po takim zabiegu cały reżim obowiązujący w kurorcie mógł się wydawać niestraszny (chodzenie spać z kurami, posiłki prawie bez soli, żadnego alkoholu ani kawy; rękawiczki, wysokie kołnierzyki, gorsety, tudzież... rozmowy o chorobach - zakazane).

Bo pan Priessnitz nie tylko wierzył, że woda, powietrze, słońce i wysiłek fizyczny są ważne w procesie leczenia, ale też starał się u swoich podopiecznych kształtować silną wolę. Wszak organizm ludzki posiada siłę życiową, która, odpowiednio wspierana, jest w stanie zwalczyć chorobę.

Przenieśmy się do Polski. Stefan Żeromski kreśląc w *Przedwiośniu* wizję kraju "szklanych domów", taki oto przedstawi wzorzec trybu życia: *...wyrazem bogactwa nie jest pieniądz ani nagromadzenie wartości realnych, drogocennych przedmiotów i rzadkich fatalachów, tylko - zdrowie. Najbogatszy bankier, jaśnie wielmożny magnat, przejadłszy apetyt, przepiwszy możliwość pragnienia, zrujnowawszy zdrowie nerwów nadużyciami, słyszy od lekarza radę: trzeba, żeby jaśnie wielmożny pan zamieszkał na wsi, chodził w zgrzebnej bieliźnie, bez kapelusza i butów, żeby dostojny smakosz jadł chleb razowy, kaszę, rzepę, rzodkiew, pogryzał czosnek - wystrzegał się jak ognia wina, alkoholów, kawy, herbaty, frykasów - żeby rozkazodawca robotników pracował w ogródku - na słońcu - motyką, rydłem, widłami, cepami - żeby noktambulista, z dnia czyniący noc, wstawał wraz z ptactwem i szedł spać z kurami... Cóż to oznacza? Oto zdrowie - apetyt i pragnienie, twardy sen po ciężkiej pracy fizycznej - stało się jedynym bogactwem bogacza.*

Prawda, że podobne? I to nie tylko do idei Priessnitza, ale też do naszego dzisiejszego sposobu myślenia, który nie tylko spa, ale i wysiłek fizyczny na świeżym powietrzu coraz bardziej sobie ceni. Dodajmy jeszcze, że dzieło Vinzenza Priessnitza przetrwało do dziś w Jeseníku. Warto go odwiedzić!

mgr Szymon Karolewski